

Pismo to wychodzi
trzy razy w tydzień
to jest: w Ponie-
dzialek, Środę i
Piątek o drugieji
po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36śc
Nrów wynosi Złp.
6 i przyjmuje się w
księgarni Czecha,
w handlach Kocha
i Schreibera.

PIĄTEK 10 LISTOPADA

N^{BR} 4.

1837 ROKU.

KRWAWY SKARB.

POWIEŚĆ.

(DALSZY CIĄG.)

V.

Nazajutrz rano Ludwik wybiegł na wolne powietrze w pole. Rozmowa, którą wczoraj miał z panną Gordon, obudziła w nim najtajemniejsze uczucia i myśli. Widząc jej łzy niewinne, słysząc jej wyrazy technące prostotą i religiją, odzyskał wszystkie wrażenia, jakich doświadczał w piérszej młodości. Jakżeż się niskim ujrzał w porównaniu z tą nieskażoną duszą. Trudno znaleźć tak zepsute serce, aby widok istoty czystej nie wzbudził w niem wyższych nad poziom uczuć. Cnota pogodna, taki sam na naszych moralnych wyobrażeniach sprawia skutek, co i widok belwederskiego Apolina na naszej zewnętrznej postawie; przez chęć naśladowania dusza nam się wznosi i przybiera na

siebie godność prawie niebiańską. Nigdy więcéj jak teraz nie żał było Ludwikowi jego przeszłości. Miłość Zofii budziła w nim tyśięczne zgryzoty. Wiedziałaż ona komu się oddaje?... Ach! czemuż, czemuż zarobił na te wyrzuty? Więc to nie bajka, że w każdym, choćby najświećniejszym bycie przychodzi taki dzień, takagodzina, gdzie człowiek przekonywa się, że *szczęście* i *powinność* sąto dwamiana jednej i téj saméj rzeczy. Jakże wtenczas wszystkie gasną uroki! jak najczystsze zatruwają się źródła! Nie już ulgi nie przynosi; westchnienia cię dławią, łzy palą. Na próżno wszystkie rodzaje uciech lejesz w swoje serce, nie zatrzymasz ich, bo uciekają jak z wiadra Danaid. Zorian tego doświadczył; samo szczęście stało się dla niego źródłem męczarni... Bez pamięci biegł w pole, chcąc utulić tę burzę. Nakoniec kiedy ból się prze-

silil, przypomnienia ucichły, powracał do Foxalu, gdzie się spodziewał zastać Zofię. W ciągu drogi, powab okolicy, miłe wspomnienia jej przeszłości, i nadzieja ujrzenia tój, którą uobóstwiał, rozpedziły tę chmurę smutku. Umysł jego łatwo przyjmujący wszelkie wrażenia, niebawem z rozpaczy przeszedł w swobodną wesołość. Mimo chodem zaczął zrywać blawatki i dzikie róże na bukiet dla Zofii, i za każdym zerwanym kwiatkiem smutna myśl ulatywała mu z serca. Przynucając skoczno mazurka zbliżał się z utęsknieniem. U wystawy spostrzegł panią Bonar, z ową otyłą damą i kilkoma innymi matronami, które zdawały się składać jakiś walny séjmik. Nie mogąc je ominąć przyspieszył kroku, aby nie był zaczepiony; lecz za ledwo stanął na pierwszym wschodzie, pani Bonar wstrzymała go za ramię: «Panie Zorian,» rzekła, «była tu mowa o panu.» — «Nie zasłużyłem na tę łaskę.» — «Opowiadałam pańskie dzieje.» — «Jako pani rozumiesz...?» — «Oto tak, że wiem całą pańską przeszłość; nie spodziewałaś się tego, nie prawdaż?» — «Pani,»

rzekł Ludwik pomieszany, «to zapewne żart tylko...» — «Bynajmniej. Wiem żeś się urodził w Wilnie, żeś roku 1816 wszedł jako chirurg do służby wojskowej, wiem i to, że koledzy nazywali cię pretendentem do wielkości, a to dla tego, iż lubiłeś marzyć o dumnych celach... Czy prawda co mówię?» — «Tak wszystko prawda, że aż muszę wiedzieć, z kąd masz pani te szczegóły.» — «Czekaj, to nie dość jeszcze; wiem, że nagle stałeś się majątnym, odziedziczając summy po stryju, którego nikt nie znał.» — «Pani! Pani!» zawołał Zorian, «z kąd ta wiadomość pochodzi? Jakaż to inkwizycya nademną czuwa? Kto ci to odkrył Pani? Powiedz, powiedz; jam powinien wiedzieć, ja muszę wiedzieć.» Pani Bonar przelekła się prawie. — «Mój Boże!» rzekła, «przecież nie miałam chęci pana rozgniewać, ani się wywiadywać szczegółów jego życia; lecz zapewne muszą tu być osoby, których to więcej niż mnie obchodzi. Kawalek listu, znaleziony przypadkiem, odkrył mi to wszystko.» — «Masz go pani?» — «Oto jest.» — Zorian poznał list widziany

wczoraj wręku Zofii. Przebiegłszy go, dorozumiał się, iż był odpowiedzią na bardzo szczegółowe zapytania, czynione o jego osobie... Odkrycie to wzburzyło w nim wszystką krew i zapaliło gniewem. Myśl, że przeszłość jego, którą chciał przed całym światem ukrywać, była przez kogós tak przetrząsaną, napawała go wściekłością. Nie mogąc potłumić tych wzruszeń, przebaknął coś do pani Bonar, niby uniewinniając się, i schowałszy list, wszedł do sali. — Zofija w oczekiwaniu, powitała uśmiechem przybywającego; lecz Zorian przyszedł aż do okna, pod którym siedziała, i nie odpowiedział na ten uśmiech. — «O Boże! cóżto ci jest, Ludwiku?» zapytała z przerażeniem. Miasto odpowiedzi wyciągnął rękę z listem. Ona spójrzała nań, zarumieniła się i spuściła oczy. Zorian pomiał papier i z gniewu przygryzł wargi. — «Są ludzie,» mówił, «tak roztropni, którzy dopóty nie otwierają swego serca, aż się nie zapewnią o hypotece drugiej strony i których miłość nie objawia się tylko na świadectwo dobrych obyczajów.» — «Ludwiku!» krzyknęła Zofija

powstając. — Lecz jej nie słuchał, i mówił dalej: — «Takie istoty nie wiedzą, iż kto nie nfa, ten pogardza; takie istoty wolą wierzyć komuś obcemu, niż człowiekowi, którego dusza całkiem do nich należy. Co sądzisz o takich ludziach, panno Gordon?» — Zofija spokojnie słuchała tych wyrazów; tylko za każdym jego słowem coraz większa okrywała ją bladeść. Gdy skończył, z lekka położyła rękę na ramieniu młodzieńca, i niepewnym głosem, tyle w nim było stłumionej boleści, rzekła: «Nie, ja do tego rodzaju istot nie należę, mój Ludwiku; wszakżem cię pokochała, nim jeszcze wiedziałam kto jesteś. List ten, który cię tak obraził, nie do mnie był pisany, ani jam piszącego wezwała. Czytając go, z radości łzy mi płynęły, bo tam była twoja pochwała, mogąca usunąć nie jedną przeszkodę. Bo i na cóżby mi się przydały szczegóły twojego życia? znałam cię lepiej niż wszyscy, kochając cię taką miłością. Nie mogłam zaradzić tój ostrożności, co cię tak oburza; i prawda, jam winną, bo we mnie była przyczyna; jam winną, bo ty

ciérpisz Ludwiku; tybyś mi błąd przebaczył, a nieszczęścia przebaczyć nie możesz?» — Wyrazy te wyrzeczone były z taką anielską słodyczą; w każdym jéj ruchu, głosie, wéjrzeniu, malowała się prawda tak ujmująca prostotą; boleść tak szczéra, i że tak powiem skromna, że Ludwik tknięty był do żywego. Przed chwilą, w zapędzie gniewu zadaje jéj cios po ciosie, a to dziecię pokorne wyrzeka jedno słowo na obronę swéj niewinności, błaga przebaczenia, i on rozbrojony, obłany rumieńcem wstydu, bierze jéj rękę, przyciska do piersi i jak winowajca się spowiada: — «Prawda, prawda; jam szaleniec, tyś anioł Zofijo; nie bierz mi tego za złe. A ta myśl, że mi nie ufasz, uniosła mię za granicę rozsądku; daruj popędliwości. Kogoż tu winić, jeżeli nie tego podejrzliwego starca; gdziekolwiek się obrócę, wszędzie zachodzi mi drogę.» — «Wstrzymaj się Ludwiku! nie sądź go tak porywco; czekaj póki go lepiej nie poznasz.» — «Czy może mam mu dziękować za przykrość, jaką mi wyrządził?» — «Ktożto wie, mój przyjacielu.»

— «Nie rozumiem cię Zofijo.»
 — «Ja téż nie chcę, abyś mię rozumiał; chcę tylko, abyś mi wierzył;» rzekła z nieporównaną słodyczą. Ludwik był zachwycony. — «Luby aniele, ty zawsze, zawsze masz słusność, jam tylko szaleniec z mojémi urojeniami, ja kat na twoje serce. Ale kto jak ja nie nawykł do szczęścia, ten się z niémi obchodzić nie umie, i w końcu choćby najpiękniejszą dolę zepsuje. Przebacz mi. Czuję to, żem ciebie niegodny...» — «Dość już, dość,» przerwała wesoła Zofija, kładąc obie dłonie na ustach jego, które ucałował z zapalem; «przebaczam ci, ale nie grzesz już więcej.» — Kochankowie usiedli obok siebie i wszczęli rozmowę niepodobną do opisania; wyrazy wniéj bez związku, co nie nie mówią, jesta co mówią wiele, poważne żarciki i pieszcotne dąsy, wszystko tam było. Zdaje się, że miłość ich podwoiła swą siłę; co zwykle następuje po kłótni kochanków. Wtedyto namiętność jak dziecko rozdąsane, któremu pogrożą i przebaczą, stara się tysiącem przemileńswój błąd naprawić. Zofija i Ludwik w dziecinnéj, uroczej pogadance

zacięrali pamięć chwilowego poróżnienia. Przez sny, spomnienia, poufałości, westchnienia, śmiechy, otwierały się przed sobą te dwa serca, pod iuną coraz postacią jak w kaléjdoskopie. Aż w końcu rozmowa przyszła na to: które z nich kocha lepiej, czy on ją, czy ona jego? Zwykle spór kochanków, wiecznie wszczynany, nie roztrzygnięty nigdy. — «Więcej kocham niż ty, bom ci więcej dłużny,» mówił Zorian, bawiąc się ze szarfą Zofii. — «Szczęście jest największym długiem; a tyś mię uszczęśliwił.» — «Kocham w tobie twoję słodycz, twój rozum, wyraz twych oczu, twój głos, ale ty, cóż we mnie możesz kochać?» — «Twoję miłość.» — «Ach! kochaj tę miłość Zofijo,» zawołał młodzieniec, «kochaj ją, jestto jedyny skarb, który pewnie nie stracę. Dobrze mówisz aniele, kochaj mą miłość, bo jest tak ogromną, bo najpięrszą, jakiej w życiu doznałem.» — «Najpięrszą,» powtórzyła Zofija wstrzasając głową; a przecież na rękotwój widzę pierścień, zapewne zadatek jakiej przysięgi.» — «Ten pierścień? o! nie bądź no zazdrosną; gdy

już stracę nadzieję posiadania ciebie, on mi się o inną postara narzeczoną; wtedy niewierność moja nie zrani twego serca: *bo cię mój błdzić będzie na skrzydłach wiatrów, okryty ciemnym obłokiem.*» — «To coś zbyt tajemniczego dla mnie.» — «Lepiej, że nie rozumiesz; to fraszki! ze mnie taki marzyciel! Ot, mówmy o czém weselszém; mówmy o przywiązaniu, bom ja nie słyszał od ciebie, czy mnie na wieki chcesz kochać?» — «Niepocziwy!» powtarzała Zofija niby zachmurzona. — «Niepocziwy... to znaczy, że cię kocham cokolwiek; czy tak? Z tém wszystkiém, pani zbyt dobrze jesteś wychowaną, abyś mię odważyła się kochać w obliczu świata; kiedy nas więcej jest w gronie, a jak wzrokiem chcę z tobą rozmawiać, wtedy spuszczasz w dół oczy jak pensyonarka, i z długich rzesów tworzysz niby zasłonę dla serca. W waszym salonowym języku, jeśli się nie myślę, dają temu miano przyzwoitości, lecz w słowniku, piękna moja pani, po prostu stoi: obłuda.» — Zofija oburzyła się. — «Obłuda, mój aniele,» powtarzał Ludwik z uśmiechem,

«i jeszcze jaka nieloiczna obluda; czemuż ukrywać miłość, kiedy się nie ukrywa przyjaźni? Do Korybuta uśmiechasz się otwarcie, do mnie nigdy; tę szarfę, którą trzymam, on ci darował; czyżbyś nosiła jaki dar ode mnie?» — «Co za różnica!» — «Zadnej tu nie widzę. Dla czegoż nie mógłbym doświadczać téj, co on radości? Pozwól, abym ci mógł ofiarować sprzączkę do téj szarfy; każdą razą, ujrawszy ją na tobie, pomyślę, że pamiętasz o mnie.» — «Później, później,» odrzekła, gotowa uleść jego prośbie. — «Przyszłę ci ją dziś wieczór,» rzekł Ludwik. — Któs obcy wszedł do sali. — W godzinę potem Zorian przewracał w podróznój swojej toalecie, i wy dobył z niéj przesliczną kameę, którą Zofija wkrótce odebrała z bilecikim mieszczącym te wyrazy: «Jestto kléjnot familijny, należał do nieboszczki méj matki, która ofiaruje go swéj córce.» — Zorian dobrze przewidział, bilecik ten rozproszył ostatnie skrupuły dziewicy; bo kiedy wieczór przeszedł do sali, gdzie było całe towarzystwo kąpiące się, spostrzegł pannę Gordon, oraz i kameę

spinającą jéj szarfę. Ludwik podziękował spójrzaniem, malującém wdzięczność i miłość. — W téj chwili wszedł Korybut. Pozdrowiwszy gości, zbliżył się do Zofii, a nachyliwszy się do niéj, w chęci powiedzenia czegoś, wórok jego padł na sprzączkę, i zawisł na niéj. — «Co ci to przyjacielu?» zapytała Zofia zdziwiona. — «Nie widziałem u ciebie takiéj sprzączki;» rzekł wskazując na nią. Zofia zmieszala się. «Jak dawno ją masz?» — «Dziś dostałam.» — Starzec zaczął się jéj przypatrywać uważnie. — «Gdzie ją kupiła?» — «Nie kupiłam jéj...» mówiła z cicha nie śmiejąc podnieść oczu. Korybut okazał podziwienie. — «Więc ci ją darowano?» — Zofia nie odpowiedziała. Starzec tém nie zadowolony, chciał jéj robić wyrzuty, lecz czując, że ani pora, ni miejsce po temu, rzekł: — «Potém o tém, a teraz na chwilę pozwól mi oglądać kameę.» — Zofia drżąc odpieła sprzączkę i dała ją starcowi, który jéj przyglądał się z osobliwszą uwagą; nakoniec, jakby sobie coś przypomniał, położył palec na jednéj wypukło-

ści, przycisnął, i kamea się o-
twarła. Starzec wykrzyknął;
Zofia z przestraczem patrzyła
na wszystko co robił. — «Nie
mówił ci pan Zorian,» rzekł
obracając się do niej, «z kąd ma
tę sprzączkę?» — «Jestto klój-
not familijny dany mu od mat-
ki.» — «Czy to wiesz od niego?»
— «Od niego.» — Czoło starca
zasepiło się. Odszedł od niej
przechadzając się wielkimi kro-
ki w głębi sali — Oczy je-
go padały często na Zoriana,
który stojąc w oddaleniu, o ni-
czém niewiedział. — W tej chwi-
li jakiś młody mężczyzna opo-
wiadał okropne swoje przygo-
dy, doznane w podróży w A-
zyi. Korybut usłyszawszy je,
zbliżył się do grona i rzekł:
»Nie tylko w Azyi, ale i w na-
szej ucywilizowanej Europie bar-
dzo łatwo można być napadnię-
tym i zabitym w podróży.» —
»Może we Włoszech,» odparł
opowiadający, «ale nie w na-
szym kraju, gdzie obyczaje są
tak łagodne i gościnne.» —
»Właśnie; że w naszym kraju,
bo ja sam, niema temu lat dwa-
naście, byłem i napadnięty i
zamordowany.» — Kobięty wy-
krzyknęły z przestraczu i cie-

kawości. — «Wépan zamordo-
wany... jakimże sposobem?» —
Całe grono skupiło się około
Korybuta. — «Zdarzenie bardzo
proste, chociaż dla mnie miało
skutki nazbyt okropne. Wyjeź-
dzałem wtenczas za granicę w
sprawie wielkiej wagi, i wióz-
łem ze sobą 400,000 w pa-
piérach. Przebiérając się przez
lasy Świętokrzyskie chciałem od-
wiedzić ów sławny klasztor Be-
nedyktynów i wczesnie na noc
zajechałem do Słupi.» — Zo-
rian, dotąd stojący na ustroniu
i mało zważający na powieść
starca, zadrżał na ostatnie je-
go wyrazy, i z wielką ciekawo-
ścią zaczął padsluchiwać. Ko-
rybut, biorąc go często na oko,
tak mówił dalej. — «Wziąw-
szy służącego ze sobą, puści-
łem się drogą do klasztoru.
Szliśmy pod przykrą i krzemie-
nistą górę, las coraz stawał
się gęstszy i dzikszy, a noc za-
skoczyła nas prędzej niżem się
spodziéwał. Ponure dokoła pa-
nowało milczenie, szum tylko
wiatru oblatywał te bory. Wi-
dząc, że trudno mi będzie po-
wrócić do miasteczka, zamie-
rzyłem był noc przepędzić w
klasztorze. Byliśmy w połowie

drogi, gdy sługa mój, znający te strony, wskazał mi kamienną starożytną figurę, i dodał, że tu przed laty zabito jakiegoś podróżnego. Figura ta mocno wraziła się w mój pamięci. Zaledwieśmy ją ominęli; gdy nagle usłyszałem krzyk za sobą, i kogoś upadającego; poskoczyłem co żywo, lecz już niewiem co się stało dalej, bo czułem, że mi czaskę strzaskano, i że się we krwi nurzałem.» — Słuchacze zgrozą byli przejęci. Korybut wpatrzył się w Zoriana, który ciągle stał na swoim miejscu, blady jak na łożu śmierci. — Starzec znowu zaczął: «W parę dni potem, odzyskawszy zmysły, dowiedziałem się od poczciwych zakonników, którzy mię tam znaleźli, iż mój służący nieżył, i że szkatułki z pieniędzmi i klójnotami, którą miał w schowaniu, nieznaleziono przy nim.» — «I nieodkryto złoczyńców?» spytało razem kilka osób. — «Daremne były wszystkie poszukiwania. Jednakże nigdy nie traściłem nadziei, albowiem w skradzionej szkatułce były klójnoty

łatwe do poznania, między innymi kamea, zupełnie do tej oto podobna.» — Starzec pokazał sprzączkę, którą miał w ręku. Już ją chciano oglądać, gdy w tém Zofija krzyknęła, a Zorian, oparty o ścianę, chwiając się i tracił przytomność.» — «Co się mu stało? co się mu stało?» ozwano się zewsząd. — Korybut powstał: «Odkryję tajemnicę...» — «Ojciec mój...» krzyknęła Zofija rzucając się mu na piersi. — Starzec wstrzymał się i na poły omdlała przyjął w ramiona. Lecz na ten krzyk wszyscy osłupieli; sam nawet zmartwiały Zorian słyszał go, jak widmo ruszył się z miejsca, odepchnął tych co go otaczali, a ujrawszy starca, trzymającego swą córkę. — «To jój ojciec! jój ojciec!» powtarzał w obłąkaniu; «o Boże, to jój ojciec!» i załamawszy dłonie, wybiegł ze sali.

(DOKOŃCZENIE NASTĄPI.)



ZAGADKA.

Odgadnijcie, jeżeli jesteście ciekawi,
Trzy piecze, a cztery bawi.